

Dobrodziejstwo wątpliwości

Jack London



calibre 0.9.27

DOBRODZIEJSTWO WĄTPLIWOŚCI

Jack London

Carter Watson, z ostatnim numerem jakiegoś czasopisma pod pachą, szedł wolno i ciekawie rozglądał się wkoło. Od dwudziestu lat nie był na tej ulicy, a zaszły tu wielkie i zadziwiające zmiany. To zachodnioamerykańskie miasto o trzystu tysiącach mieszkańców miało ich zaledwie trzydzieści tysięcy, kiedy jako chłopiec biegał po jego ulicach. Ulica, po której szedł, była wówczas spokojną ulicą domów mieszkalnych, w przyzwoitej dzielnicy robotniczej. Ale tego późnego popołudnia Watson stwierdził, że wchłonęła ją występna i rozległa dzielnica o złej sławie. Zaroiło się na niej od chińskich i japońskich sklepików i spelunek, chaotycznie pomieszanych z podrzędnymi zakładami białych i knajpami spod ciemnej gwiazdy. Cicha ulica jego młodości stała się najbardziej bandycką dzielnicą miasta.

Spojrzał na zegarek. Było wpół do szóstej. Dobrze wiedział, że jest to senna pora w tego rodzaju dzielnicy, pchała go jednak ciekawość. Przez dwadzieścia lat włości i badania warunków socjalnych na świecie woził ze sobą wspomnienie swego rodzinnego miasta jako czegoś drogiego i pięknego. Zaskoczyła go zmiana, którą tu widział. Musi koniecznie przejść jeszcze kawałek i zobaczyć, jak nisko stoczyło się jego miasto.

I jeszcze coś: Carter Watson miał wyostrzony zmysł społeczny i obywatelski. Zamożny, a dzięki temu niezależny, niechętnie trwonił energię na wielkoświatowe herbatki i wytworne towarzyskie kolacje. Nie pociągały go też ani aktorki, ani konie wyścigowe, ani podobne rozrywki. Jego manią były sprawy etyki i uważał się za nie byle jakiego reformatora, choć jego działalność sprowadzała się przede wszystkim do pisywania artykułów w poważniejszych pismach i kwartalnikach oraz do wydawania pod własnym nazwiskiem jasno i mądrze napisanych książek o klasie robotniczej i wielkomiejskich nędzarzach. Wśród dwudziestu siedmiu ogłoszonych drukiem tytułów, które wyrobiły mu nazwisko, były takie: „Gdyby Chrystus zstąpił do Nowego Orleanu”, „Wyeksploatowany do cna robotnik”, „Reforma czynszowa w Berlinie”, „Wiejskie slumsy Anglii”, „Ludność wschodnich stanów”, „Reforma contra rewolucja”, „Miasteczka uniwersyteckie — rozsadnikiem radykalizmu” i „Jaskiniowiec cywilizacji”.

Ale Carter Watson nie był ani maniakiem, ani fanatykiem. Nie wpadał w rozpacz na widok okropności, które badał i piętnował. Nie płonął ogniem naiwnego entuzjazmu. Ratował go humor, tak jak wielkie doświadczenie i usposobienie konserwatywno-filozoficzne. Nie skłaniał się też ku teoriom błyskawicznych reform. Jego zdaniem społeczeństwo mogło stać się lepsze jedynie dzięki straszliwie powolnej i bardzo bolesnej ewolucji. Nie uznawał ani gwałtownych cięć, ani raptownych odrodzeń. Ludzkość może się uszlachetniać tylko poprzez cierpienie i biedę, tak jak dochodziła do wszystkich zdobyczy socjalnych.

Tego późnego, letniego popołudnia ciekawość nie dawała Watsonowi spokoju. Przystanął przed pretensjonalną knajpą. Wisiał nad nią szyld z napisem „Vendome”, a do wnętrza prowadziło dwoje drzwi. Jedne najwidoczniej wiodły do baru — z tych nie skorzystał — a drugie otwierały się na wąski korytarz. Watson przeszedł go i znalazł się w dużej sali zastawionej stolikami, zupełnie pustej.

W półmroku dostrzegł w odległym kącie pianino. Pomyślałszy w duchu, że wróci tu kiedyś i przyjrzy się ludziom, którzy siedzą i piją przy tych licznych stolikach, ruszył wokół sali.

Krótki korytarz wiódł z niej do małej kuchenki, gdzie przy stole siedział samotnie Patsy Horan, właściciel lokalu. Posiłał się śpiesznie przed wieczornym napływem gości. Był zły na cały świat. Rano lewą nogą wstał z łóżka i odtąd wszystko go irytowało. Gdyby ktoś zapytał o to barmanów, pewnie by powiedzieli, że „stary się wściekł”. Ale Carter Watson tego nie wiedział. Gdy wszedł do kuchni, ponury wzrok Patsy Horana padł na czasopismo pod jego pachą. Nie znał Watsona i nie wiedział, że niesie on zwykle ilustrowane pismo. Z głębi swego rozdrażnienia osądził, że ów obcy to zakąła ludzkości, jeden z tych, którzy zapaskudzają mu wnętrze lokalu przybijając lub rozlepiając plakaty. Barwna okładka pisma utwierdziła go w przekonaniu, że to plakat. Od tego się zaczęło. Z widelcem i nożem w ręku Patsy podbiegł do Watsona.

— Wynoś się! — ryknął. — Już ja was znam!

Carter Watson osłupiał. Patsy wyskoczył na niego jak diabeł z pudełka.

— Będiesz mi tu ściany niszczył! — krzyczał Patsy wyrzucając z siebie istny potok ohydnych i obraźliwych wymysłów.

— Jeśli nawet czymś pana dotknąłem, zrobiłem to nieumyślnie... Tyle tylko zdażył powiedzieć Watson, bo Patsy zaraz mu przerwał. — Wynoś się i nie rozpuszczaj pyska — powtórzył, groźnie wywijając dla większego wrażenia nożem i widelcem.

Carter Watson ujrzał oczyma wyobraźni ten widelec nieprzyjemnie wbity w jego żebra, zrozumiał, że daremnie próbowałby „rozpuszczać pysk”, i szybko zawrócił do wyjścia. Widok tego pokornego odwrotu musiał do reszty rozwścieczyć Patsy Horana, bo ten czcigodny jegomość upuścił nóż i widelec i skoczył na Watsona.

Ważył sto osiemdziesiąt funtów, tyleż co Watson. Pod tym względem mieli równe szanse. Patsy był jednak karczemnym zabijaką, na ślepo pracującym naprzód, podczas gdy Watson był bokserem. I pod tym względem on miał przewagę, bo Patsy atakując zapomniał o obronie i ryzykownie zamachnął się prawą pięścią. Watsonowi wystarczyłoby poczęstować go lewym prostym i uciec. Ale Watson miał jeszcze jedną przewagę. Boks i doświadczenie wyniesione z nędznych i podejrzanych dzielnic całego świata nauczyły go panowania nad sobą.

Obrócił się więc w miejscu i zamiast oddać cios, zrobił unik i przeszedł do zwarcia. Patsy, który szarżował jak byk, miał przewagę rozpędu, Watson zaś, obróciwszy się ku niemu, rozpędu nie miał. W rezultacie obaj całym ciężarem swoich trzystu sześćdziesięciu funtów runęli z hukiem na ziemię. Watson znalazł się pod spodem i głową dotykał tylnej ściany wielkiego pokoju. Od ulicy dzieliło go sto pięćdziesiąt stóp. Zastanawiał się szybko. Przede wszystkim należało uniknąć skandalu. Nie chciał dostać się do gazet w mieście swego dzieciństwa, gdzie mieszkało jeszcze wielu krewnych i przyjaciół rodziny.

Dlatego też oplótł rękami człowieka leżącego na nim, przywarł do niego i czekał nadejścia pomocy, która musiała przyjść zwabiona hałasem. I rzeczywiście nadeszła — to znaczy z baru wypadło sześciu mężczyzn i półkolem obstało zapaśników.

— Zabierzcie go — rzekł Watson. — Nie ruszyłem go i nie chcę się bić.

Lecz półkole stało w milczeniu. Watson trwał w niezmienionej pozycji i czekał. Po wielu daremnych próbach ugodzenia go Patsy wdał się w pertraktacje:

— Puść mnie, to i ja cię puszcę — powiedział.

Watson puścił go, Patsy jednak ledwie się podniósł, stanął nad leżącym przeciwnikiem gotów do zadania ciosu.

— Wstawaj! — rozkazał.

Mówił głosem groźnym i nieubłaganym, jak Bóg Ojciec w dzień Sądu Ostatecznego, i Watson pojął, że nie może liczyć na zmiłowanie.

— Odejdź pan, to wstanę — odparł.

— Jeśli jesteś dżentelmenem, wstawaj zaraz — rzekł Patsy, a blade oczy pały mu wściekłością, gdy pięść szykowała się do miażdżącego ciosu.

W tej samej chwili cofnął nogę, chcąc kopnąć Watsona w twarz. Watson zasłonił się skrzyżowanymi ramionami i skoczył na nogi tak błyskawicznie, że zamknął w kłamrze przeciwnika, nim ten zdążył uderzyć. Trzymając go raz jeszcze zaapelował do gapiów.

— Chłopcy, zabierzcie go. Widzicie, że go nie ruszam. Nie chcę się bić. Chcę stąd wyjść.

Ludzie w kole ani nie drgnęli, ani się nie odezwali. To milczenie było tak złowróżbne, że Watsonowi ciarki przeszły po krzyżu. Patsy spróbował się wyrwać, co miało ten efekt, że Watson powalił go na wznak i wyrwawszy mu się skoczył do drzwi. Ale koło widzów jak mur zagrodziło mu drogę. Dostrzegł blade, nalane twarze ludzi, którzy nie widują słońca, i zrozumiał, że ma przed sobą nocnych rzezimieszków, drapieżne zwierzęta wielkowiejskiej dżungli. Odepchnęli go w tył, w objęcia goniącego za nim jak rozjuszony byk Patsy Horana.

W jeszcze jednym zwarciu Watson, chwilowo bezpieczny, zaapelował do bandy opryszków. I znów jego głos był głosem wołającego na puszczy. Wtedy zląkł się nie na żarty. Znał wiele wypadków, kiedy w takich spelunkach maltretowano samotnych gości, łamano im żebra i masakrowano twarze, kopano i bito na śmierć. Wiedział też, że jeśli ma wyjść cało, nie wolno mu uderzyć ani napastnika, ani nikogo z bandy. Jednakże ogarnęło go uzasadnione oburzenie. Siedmiu na jednego — to w żadnym wypadku nie jest uczciwe! Był zły i zbudziło się w nim drapieżne zwierzę drzemące w każdym człowieku. Ale przypomniał sobie żonę i dzieci, zaczęta książkę i dziesięć tysięcy akrów sfałowanej ziemi we własnej, tak lubianej podgórskiej posiadłości. W przelotnej jak błyskawica wizji ujrzał błękitne niebo, promienie złotego słońca na ukwieconych łąkach, było leniwie brodzące w strumieniach i błysk rzucającego się w bystrym nurcie pstrąga. Życie było piękne — zanadto piękne, by miał je ryzykować dla zaspokojenia przyływu zwierzęcych instynktów. Krótko mówiąc, Carter Watson był opanowany i przerażony.

Jego przeciwnik, zamknięty w mistrzowskim zwarciu, próbował się wyswobodzić. Watson znów go powalił, skoczył do drzwi i znów odepchnęło go półkole ludzi o wyblakłych, nalanych twarzach. Nowym unikiem umknął prawemu sierpowemu Horana i chwycił go w pół. Powtarzało się to wiele razy. Watson stawał się coraz zimniejszy, gdy zawiedziony w rachubach Patsy, któremu nie wychodził żaden cios, wściekał się coraz bardziej i spróbował walczyć w zwarcich głową. Za pierwszym razem grzmotnął Watsona czołem w nos. Nauczony doświadczeniem Watson przyciskał odtąd w zwarcich głowę do jego piersi. Oszałały z wściekłości Patsy bódł dalej i pokiereszował sobie oko, nos i policzek o ciemną twarz Watsona. A im silniej się kaleczył, tym bódł zacieklej i mocniej.

Taka jednostronna walka trwała od dwunastu do piętnastu minut. Watson nie zadał ani jednego ciosu, szukał tylko ucieczki. Czasem, w krótkich chwilach, gdy odrywał się od przeciwnika i klucząc między stolikami próbował dostać się do wyjścia, ludzie o bladych, nalanych twarzach łapali go za poły marynarki i pchali pod prawy sierpowy depczącego mu po piętach Patsy'ego. Raz po raz i nieskończoną ilość razy Watson przechodził do zwarcia i kładł przeciwnika na obie łopatki, przy czym zawsze okręcał nim i przewracał go w kierunku drzwi. W ten sposób zbliżał się do celu o długość ciała.

W końcu, bez kapelusza, rozczochrany, z krwawiącym nosem i podbitym okiem, wydostał się na chodnik i wpadł w objęcia policjanta.

— Niech pan, aresztuje tego człowieka — zażądał łapiąc z trudem oddech.

— Hej, Patsy! — zawołał policjant — co się tu u ciebie dzieje?

— Jak się masz, Charley — odpowiedział Patsy. — Ten drab wpadł tutaj...

— Niech pan go aresztuje — powtórzył Watson.

— Wynoś się! Zmykaj! — ryknął na niego Patsy.

— Zmykaj! — dorzucił policjant. — Bo jak nie, to ciebie aresztuję.

— Dobrze, ale musi pan także aresztować tego człowieka. Napadł na mnie bez powodu.

— Napadłeś na niego, Patsy? — zapytał policjant.

— Nie. Daj mi skończyć, Charley, i — na Boga — mam świadków na to, co mówię. Siedzę w kuchni i jem zupę, aż tu wchodzi ten drab i ni stąd, ni zowąd — do mnie. Nawet nie wiem, co to za jeden. Jest pijany.

— Niech pan spojrz na mnie — zaprotestował oburzony socjolog. — Czy jestem pijany?

Policjant spojrz na niego ponuro i groźnie i skinął na Patsy'ego, by mówił dalej.

— Więc ten drab zaczyna się mnie czepiać. „Nazywam się Tira McGrath i rozsmaruję cię na chlebie. Ręce do góry!” — woła. Uśmiechnąłem się, a ten, bęc, bęc, palnął mnie dwa razy i rozlał mi zupę. Spójrz na moje oko. Ładnie mnie urządził.

— Co pan zamierza zrobić? — zapytał Watson policjanta.

— Wynoś się, zmykaj, bo zobaczysz, że cię aresztuję — usłyszał w odpowiedzi.

Wtedy w Watsonie zbudziło się poczucie obywatelskiej praworządności.

— Protestuję...

Ale w tej chwili policjant schwycił go za ramię i szarpnął tak mocno, że o mały włos byłby go przewrócił.

— Chodź, aresztuję cię.

— To i jego niech pan weźmie — żądał Watson.

— Akurat! — rzekł policjant. — Po coś na niego napadł, gdy spokojnie jadł zupę?

Carter Watson był naprawdę zły. Nie tylko napadnięto go bez powodu, dotkliwie pobito i aresztowano, ale jeszcze wszystkie ranne gazety podały sensacyjny opis jego pijackiej awantury z właścicielem osławionej knajpy „Vendome”. W tych opisach nie było ani słówka prawdy. Patsy Horan i jego poplecznicy szczegółowo opowiedzieli całą bijatykę. Nie ulegało wątpliwości, że Carter Watson był pijany. Trzy razy wyrzucano go z szynku do rynsztoka i trzy razy wracał ziejąc nienawiścią i przysięgając, że wszystkich stąd powymiała.

„Słynny socjolog urznął się i siedział w kozie” — taki był pierwszy tytuł artykułu, który wpadł Watsonowi w oczy na czołowej stronie gazety. Obok ujrzał swoją wielką podobiznę. Inne tytuły głosiły: „Carter Watson ubiega się o mistrzostwo w boksie”, „Carter Watson dostał za swoje”, „Słynny socjolog próbuje wymieść do czysta spelunkę” i „Carter Watson znokautowany przez Patsy Horana w trzeciej rundzie”.

Wypuszczony za kaucją, Carter Watson stanął nazajutrz przed sądem policyjnym oskarżony z urzędu o zakłócenie porządku publicznego przez napad i pobicie niejakiego Patsy Horana. Ale przedtem jeszcze prokurator, który bierze pensję za ściganie wykroczeń przeciw porządkowi publicznemu, odciągnął Watsona na bok na prywatną rozmowę.

— Lepiej byłoby, gdyby pan poniechał sporu — powiedział. — Wie pan co, panie Watson, niech pan się pogodzi z Patsy Horanem. Uściśnijcie sobie ręce i skończcie z tym. Załatwimy sprawę raz dwa. Szepnę słówko sędziemu i umorzy sprawę przeciw panu.

— Wcale nie chcę, żeby umarzał sprawę — zaoponował Watson. — Pańskim obowiązkiem jest mnie przesłuchać, a nie godzić z tym... z tym jegomościem.

— Ach, jeśli tak, to będę pana przesłuchiwał — odparł prokurator.

— Będzie pan też musiał przesłuchać tego Patsy Horana — rzekł Watson. — Bo teraz ja żądam aresztowania go za napad i bijatykę.

— Radzę, niech się pan z nim pogodzi — powtórzył prokurator, a tym razem jego słowa zabrzmiały niemal jak groźba.

Obie rozprawy wyznaczono za tydzień, tego samego ranka, przed sędzią Witbergiem.

— Nie masz żadnych szans — powiedział Watsonowi jego przyjaciel z lat dzieciństwa, dawny naczelny redaktor najpoczytniejszego pisma w mieście. — Każdy wie, że ten człowiek cię poturbował. Ma najgorszą w świecie opinię. Ale to ci nic nie pomoże. Obie skargi oddała. I to tylko przez wzgląd na twoją osobę. Zwykły śmiertelnik zostałby skazany.

— Nie rozumiem — odparł zdziwiony socjolog. — Ten człowiek napadł mnie z nienacki i dotkliwie pobił. Ja nie uderzyłem go ani razu. Ja...

— To nieważne — przerwał mu przyjaciel.

— Więc co jest ważne?

— Posłuchaj: zadarłeś z miejscową policją i całą machiną polityczną. Kim jesteś? Nawet nie stałym mieszkańcem tego miasta. Żyjesz gdzieś na wsi. Tu nie masz praw wyborcy. Co więcej, nie masz żadnego wpływu na wyborców. A za tym właścicielem knajpy pójdzie porządna kupa wyborców z jego okręgu — porządna kupa!

— Chcesz powiedzieć, że sędzia Witberg pogwałci świętość swego urzędu i złamie przysięgę uniewinniającą tego bydlaka?

— Strzeż się — brzmiała ponura odpowiedź. — O, zrobi to z pewnością. Wyda arcyprawny, arcyzasadniony wyrok, obfitujący we wszystkie słowa, jakie zna nasz język dla wyrażenia pojęcia przyzwoitości i prawa.

— Jest jeszcze prasa! — wybuchnął Watson.

— Tak, ale w tej chwili nie zwalcza administracji. Czeka cię ciężka przeprawa. Już miałeś próbkę.

— Więc te pętki od kroniki policyjnej nie napiszą prawdy?

— Napiszą coś na pograniczu prawdy, tak żeby czytelnicy uwierzyli. Wiesz, że piszą, jak im każą. Mają powiedziane, że muszą kręcić i koloryzować, a gdy się do tego zabiorą, będziesz się miał z pyszna. Lepiej od razu poniechaj wszystkiego. Wpadłeś.

— Ale rozprawy już wyznaczono.

— Piśnij tylko słówko i zaraz wszystkiemu łeb ukręca. Człowiek może walczyć z machiną, ale wtedy, kiedy ma machinę za sobą.

Carter Watson był jednak uparty. Wiedział, że przegra z machiną, ale przez całe życie gonił za socjologicznymi doświadczeniami, teraz zaś wpadł na coś zupełnie nowego.

Rankiem, w dniu rozprawy, prokurator raz jeszcze spróbował zatuszować sprawę.

— Jeśli takie jest pańskie stanowisko, to chyba wezmę adwokata, by popierał oskarżenie — odparł Watson.

— Nie, nie trzeba — rzekł prokurator. — Biorę za to pensję, by ścigać przestępstwa, i będę oskarżał. Ale muszę panu powiedzieć, że nie ma pan żadnych widoków. Złączymy obie sprawy w jedną i niech się pan pilnuje.

Sędzia Witberg spodobał się Watsonowi. Jeszcze młody, niewysoki, w miarę tęgi, czysto wygolony, o inteligentnej twarzy, robił dobre wrażenie. Uśmiech na wargach i wesołe zmarszczki w kątach czarnych oczu potęgowały tylko to wrażenie. Przyglądając mu się i badając go wzrokiem,

Watson nabrał niemal pewności, że jego przyjaciel się mylił.

Rozczarował się wkrótce. Zeznania Patsy Horana i Jego dwóch zauszników były jednym wielkim łągarstwem złożonym pod przysięgą. Watson nigdy by nie uwierzył, że coś takiego jest możliwe, gdyby sam tego nie doświadczył. Ludzie ci zaprzeczyli istnienia pozostałych czterech mężczyzn. Jeden ze świadków twierdził, że był w kuchni i widział, jak Watson bez powodu napadł na Horana. Drugi miał siedzieć w barze i widzieć, jak Watson dwa razy wracał do knajpy, by rozprawić się z Bogu ducha winnym szynkarzem. Przypisywali zaś Watsonowi tak bogaty rynsztokowy język, że — jak sądził — podważali tym własne zeznania. Trudno było bowiem uwierzyć, żeby on mógł używać podobnych wyrazów. Kiedy zaczęli opowiadać, jak brutalnymi ciosami zasypał twarz biednego Horana i jak rozbił krzesło daremnie usiłując go uderzyć, poczuł tajoną chęć do śmiechu, a jednocześnie i smutek. Sąd zamienił się w farsę. Watson zaś w obliczu tak bezgranicznej podłości z przygnębieniem myślał o długiej drodze wzwyż, jaką jeszcze ludzkość ma przed sobą.

W obrazie zabijaki i chuligana, namalowanym przez świadków, najgorszy wróg nie poznałby Watsona ani on sam nie poznałby siebie. Ale jak przy wszystkich zagmatwanych krzywoprzysięstwach, tak tutaj widać było sprzeczności i głębokie rysy w zeznaniach. Sędzia jednakże jakoś ich nie dostrzegał, a obaj prokuratorzy i oskarżyciel z ramienia Horana — omijali je zrećźnie. Watson nie pomyślał o tym, by zaangażować adwokata, i teraz był z tego zadowolony.

Gdy nadeszła kolej na jego zeznania, ciągle jeszcze zachowywał cień wiary w sprawiedliwość sędziego Witberga.

— Proszę Wysokiego Sądu, przypadkiem szedłem sobie ulicą... — zaczął, ale sędzia mu przerwał.

— Nie jesteśmy tu po to, żeby rozważać, co pan robił przed awanturą — warknął groźnie. — Kto pierwszy uderzył?

— Wysoki Sądzie — bronił się Watson — ja nie mam świadków w tej bójce i dlatego prawdę moich słów można ustalić tylko po wysłuchaniu całej historii...

Znów mu przerwano.

— Nie będziemy tu wydawali czasopism! — wrzasnął sędzia Witberg. Patrzył przy tym tak wrogo i gniewnie, że Watson nie mógł uwierzyć, by był to ten sam człowiek, któremu przyglądał się przed chwilą.

— Kto pierwszy uderzył? — zapytał oskarżyciel ze strony Horana.

W tym miejscu wtrącił się prokurator, pytając, którą z dwóch połączonych spraw rozpatruje się obecnie i na jakiej zasadzie, w tym stadium, jego kolega bada świadka. Tamten zareplikował. Sędzia Witberg wmieszał się zdradzając zupełną niezajomość sprawy. Wszystko to wymagało wyjaśnienia. Rozgorzała generalna bitwa, która skończyła się tym, że obaj prawnicy przeprosili sąd i siebie nawzajem. I tak to szło, a Watsonowi zdawało się, że kilku rzezimieszków obrabia uczciwego człowieka wyciągając mu portmonetkę. Machina pracowała i nic więcej.

— Czemu wszedł pan do knajpy o tak złej sławie? — zapytano go.

— Jako ekonomista i socjolog od wielu lat mam zwyczaj osobiście badać...

Więcej nie zdążył powiedzieć.

— Nic nas tu nie obchodzi pańska uczoność — warknął sędzia. — Pytanie jest wyraźne i niech pan wyraźnie odpowiada. Czy był pan pijany? O to tylko chodzi.

Kiedy Watson próbował wyjaśnić, że Patsy pokaleczył sobie twarz, gdy usiłował bić głową, otwarcie dano mu wiary i wyśmiano, a sędzia Witberg znów wziął go w obroty.

— Czy zdaje pan sobie sprawę z powagi przysięgi, którą pan złożył zobowiązując się mówić prawdę z tego miejsca dla świadków? — zapytał. — Plecie pan jakieś bajeczki. Nikt nie uwierzy, że

człowiek przy zdrowych zmysłach pokaleczył się i dalej się kaleczył bijąc wrażliwymi i miękkimi częściami twarzy o pańską głowę. Pan jest przecież inteligentnym człowiekiem. Czy to ma sens?

— Ludzie w gniewie tracą rozsądek — łagodnie odrzekł Watson. Wtedy to sędzia Witberg poczuł się bardzo obrażony i uniósł się słusznym gniewem.

— Jakim prawem pan to mówi? — wrzasnął. — To nie ma żadnych podstaw. To nie ma żadnego związku ze sprawą. Jest pan świadkiem na okoliczność, jaka się wydarzyła. Sąd nie życzy sobie wysłuchiwać pańskich opinii.

— Odpowiedziałem tylko na pytanie, proszę Wysokiego Sądu — skromnie zaoponował Watson.

— Nic podobnego — wybuchnął sędzia. — Uprzedzam pana, uprzedzam uroczyście, że taka bezczelność może być panu poczytana za obrazę Sądu. I niech pan wie, że my tu, w tej sali rozpraw, wiemy, jak przestrzegać prawa i dobrych obyczajów. Wstyd mi za pana!

Gdy następny drobiazgowy spór prawny między przedstawicielami stron przerwał mu opowiadanie o tym, co zaszło w „Vendome”, Carter Watson bez goryczy, ubawiony, ale i smutny, patrzył, jak w jego oczach formuje się obraz maszyny wielkiej i małej, która rządzi krajem. Myślał o bezwstydnym i bezkarnym łapówkach wymuszanych w tysiącach miast przez podobne do pajaków, nędzne kreatury tej maszyny. Miał tu przed sobą sąd i sędziego, których machina podporządkowała służalczo właścicielowi szynku dlatego, że za nim szło mnóstwo wyborców. To zjawisko choć nędzne i marne stanowiło jedno z oblicz wielkiej maszyny, która groźnie rozpierała się w każdym mieście, w każdym stanie i pod tysiącem postaci rzucała cień na cały kraj.

Zadźwięczało mu w uszach znane powiedzonko: „To śmiechu warte” i w szczytowym punkcie sporu zachichotał głośno, na co sędzia zarea gował groźnym zmarszczeniem brwi. Ci tyranizujący innych prawnicy i sędzia — myślał Watson — są gorsi, milion razy gorsi od zabijaków-marynarzy na trzeciorzędnych statkach, którzy sami tyranizują, ale i sami się bronią. Ci nędzni łotrzykowie zaś chowali się za majestat prawa. Bili, ale nie wolno było oddać im ciosu, bo za nimi stały cele więzienne i pałki tępych policjantów — płatnych i zawodowych gnębicieli człowieka. Ale Watson nie czuł złości. To wszystko było takie groteskowe, że zatracalo swą obrzydliwość i występność, a on na szczęście miał zbawienne poczucie humoru.

Mimo że go zastraszano i usiłowano zbić z tropu, udało mu się w końcu opowiedzieć szczerze i po prostu, jak to było, i mimo złośliwych krzyżowych pytań żaden szczegół jego relacji nie został podważony. Różniła się ona kapitalnie od fałszywych zeznań przebijających z historyjek Horana i jego dwóch świadków.

Oskarżyciel ze strony Horana i prokurator podtrzymali pierwotne oskarżenie pozostawiając wszystko sądowi do rozstrzygnięcia. Watson zaprotestował przeciwko temu, ale oskarżyciel publiczny zatkał mu usta mówiąc, że jest oskarżycielem publicznym i wie, co robi.

„Patrick Horan zeznał, że jego życiu zagrażało niebezpieczeństwo i że musiał się bronić — tak zaczynał się wyrok sędziego Witberga.— Carter Watson zeznał to samo. Każdy z nich przysiągł, że pierwsze uderzenie zadała strona przeciwna; każdy też przysiągł, że to on został napadnięty bez powodu. Jest zasadą prawa, że wszelkie wątpliwości należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego. W tym wypadku zachodzi fakt uzasadnionej wątpliwości. Tak więc w sprawie «naród przeciw Carterowi Watsonowi» wspomniany Carter Watson korzysta z dobrodziejstwa wątpliwości i zostaje zwolniony z aresztu. To samo rozumowanie należy zastosować w sprawie »naród przeciw Patrickowi Horanowi«. I on korzysta z dobrodziejstwa wątpliwości i zostaje zwolniony z aresztu. Chciałbym, aby obaj oskarżeni uścisnęli sobie ręce i pogodzili się”.

Pierwsze tytuły, jakie wpadły Watsonowi w oczy w gazetach wieczornych, głosiły: „Carter

Watson uwolniony od winy i kary”. W drugiej gazecie zobaczył: „Carter Watson uniknął grzywny”. Ale szczytem wszystkiego był nagłówek: „Carter Watson — to swój chłop”. Z tekstu artykułu Watson dowiedział się, że sędzia Witberg doradził przeciwnikom, by podali sobie ręce, co z gotowością uczynili. Dalej czytał: „No, chodźmy to oblać — zaproponował Patsy Horan.

— Oczywiście — odparł Carter Watson.

I wzięwszy się pod ręce powędrowali do najbliższego baru”.

Z całej tej przygody Watson nie wyniósł goryczy. Była ona nowego rodzaju doświadczeniem, które doprowadziło go do napisania jeszcze jednej książki pod tytułem „Postępowanie policyjno-sądowe: próba analizy”.

Pewnego letniego ranka, w rok potem, w czasie przejażdżki po swej posiadłości, Watson zsiadł z konia i zaczął się przedzierać malutkim kanionem, chcąc zobaczyć, jak się przyjęły skalne paprocie, które zasadził ubiegłej zimy. Po drugiej, wyższej stronie wąwozu wyszedł na ukwieconą łąkę, cudowne, odludne miejsce, odgródzone od świata wzgórzami i kępami drzew. I tu zobaczył jakiegoś mężczyznę, który przyszedł pewnie spacerem z hotelu otwieranego na lato w miasteczku o milę stąd. Spotkali się twarzą w twarz i poznali wzajemnie. Letnikiem był sędzia Witberg. Wyraźnie naruszył prawo cudzej własności, bo Watson wszędzie na granicy swej posiadłości ustawił napisy zabraniające wstępu, choć nigdy nie przestrzegał tego zakazu.

Sędzia Witberg wyciągnął rękę na powitanie, ale Watson udał, że jej nie widzi.

— Polityka to wstrętne zajęcie, prawda, panie sędzio? — zauważył. — Oczywiście widzę pańską wyciągniętą rękę, ale nie mam zamiaru jej uścisnąć. W gazetach czytałem, że po rozprawie podałem rękę Horanowi. Pan wie, że tego nie zrobiłem, ale pozwoli pan sobie powiedzieć, że tysiąc razy wolałbym podać rękę jemu i nędznym kundlom z jego sfory niż panu.

Sędzia Witberg był przykro zaskoczony i gdy chrząkał, jąkał się i próbował coś wybąkać, Watsonowi strzelił do głowy pewien pomysł. Zdecydował się na ponury i zabawny żart.

— Nie posądziłbym o wrogość człowieka tak obytego jak pan i tak znającego świat — powiedział sędzia.

— Wrogość? — powtórzył Watson. — Na pewno jej nie żywię. Nie leży w moim charakterze. A żeby tego panu dowieść, niech mi wolno będzie pokazać panu coś ciekawego, coś, czego pan jeszcze nigdy nie widział. — Rozejrzał się wkoło i podniósł ostry kamień wielkości pięści. — Widzi pan to? — powiedział. — Niech pan patrzy.

Z tymi słowy mocno uderzył się w policzek. Kamień przeciął mięso do kości i krew trysnęła strumieniem.

— Był za ostry — oznajmił Watson zdumionemu sędziemu, który pomyślał, że ma do czynienia z wariatem. — Trzeba się trochę potłuc. W takich sprawach należy przede wszystkim być realistą.

Znalazł gładszy kamień i kilka razy porządnie walnął się nim w policzek.

— A, a, a — zagruchał. — Za parę godzin będę miał piękne zielono-czarne sińce. Najbardziej przekonujący dowód.

— Pan zwariował — drżącym głosem powiedział sędzia.

— Niech mi pan nie ubliża — odparł Watson. — Widzi pan moją posiniaczoną i pokrwawioną twarz? To pan to zrobił, własną prawicą. Dwa razy mnie pan uderzył: pac, pac. To brutalny i nie sprowokowany napad. Moje życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Muszę się bronić.

Strwożony sędzia cofnął się przed wzniesionymi groźnie pięściami.

— Jeśli mnie pan uderzy, każę pana aresztować — zagroził.

— To samo powiedziałem Patsy Horanowi. I wie pan, co zrobił w odpowiedzi?

— Nie.

— To!

W tej samej chwili prawa pięść Watsona z rozmachem wylądowała na nosie sędziego, kładąc przedstawiciela prawa na wznak na trawie.

— Niech pan wstaje! — rozkazał Watson. — Niech pan wstaje, jeśli jest pan dżentelmenem. Jak pan wie, to samo powiedział mi Horan.

Sędzia Witberg nie chciał wstać, ale Watson podniósł go za kołnierz jedynie po to, by podbić mu oko i znów obalić na ziemię. To, co potem nastąpiło, przypominało masakrę Indian. Sędzia Witberg wziął lanie według wszelkich prawideł sztuki. Watson obił mu policzki, uszy, unurzał twarz w ziemi. I przez cały czas zachowywał się tak jak Horan. Z rzadka i bardzo ostrożnie żartobliwy socjolog zadawał naprawdę poważny cios. Raz stawiając znękanego Witberga na nogi, umyślnie rozkwasił sobie nos o jego głowę. Z nosa poszła natychmiast krew.

— Niech pan patrzy! — krzyknął Watson cofając się i zręcznie rozmazując krew po gorsie koszuli. — To pan to zrobił. Własną pięścią. Straszne. Ładnie mnie pan urządzi. Znow muszę się bronić.

I ciosem pięści prosto w twarz powalił sędziego na trawę.

— Każę pana aresztować — łkał ten leżąc.

— To samo mówiłem Patsy'emu.

— Brutalny... — sapał sędzia — nie sprowokowany... — sapnął — napad.

— To samo mówiłem Patsy'emu.

— Zobacz pan... każę pana aresztować.

— Mówiąc po łobuzersku: pośpiesz się, żebyś się czasem nie spóźnił.

Carter Watson odszedł w dół kanionu, wskoczył na konia i pojechał do miasta.

W godzinę później, kiedy sędzia Witberg dowlókł się przez park do hotelu, aresztował go — z oskarżenia Cartera Watsona — miejscowy policjant pod zarzutem napadu i pobicia.

— Wysoki Sądzie — mówił Watson nazajutrz do wiejskiego sędziego, zamożnego farmera, który trzydzieści lat temu skończył „wiejski uniwersytet” — ponieważ ten Salomon Witberg uważa za stosowne skarżyć mnie o pobicie, gdy ja go o to samo oskarżyłem, proponuję złączyć obie sprawy w jedną. Świadectwo i fakty w obu wypadkach są te same.

Sędzia zgodził się i obie sprawy rozpatrywano łącznie. Watson jako świadek oskarżenia wystąpił pierwszy i opowiedział swoją historię.

— Zbierałem kwiaty — mówił — zbierałem kwiaty na własnym terenie i o niebezpieczeństwie nawet mi się nie śniło. Nagle ten człowiek wyskoczył na mnie zza drzew. „Nazywam się Dodo — mówi — i zrobię z ciebie mokrą plamę. Ręce do góry!” Uśmiechnąłem się, a on na to — bęc, bęc — uderzył mnie, przewrócił na ziemię i rozsypał kwiaty. Wymyślał przy tym ohydnie. To był brutalny i nie sprowokowany napad. Proszę spojrzeć na mój policzek. Proszę popatrzeć na mój nos. Nic z tego nie rozumiałem. Był widocznie pijany. Zanim zdołałem otrząsnąć się ze zdumienia, tak mnie pokaleczył. Moje życie zostało zagrożone i musiałem się bronić. To wszystko, proszę Wysokiego Sądu, choć na zakończenie muszę dodać, że ciągle nie mogę wyjść z podziwu. Dlaczego mówił, że nazywa się Dodo? Czemu napadł na mnie bez żadnego powodu?

W ten sposób Salomon Witberg dostał dobrą lekcję krzywoprzysięstwa. Często z wysokości swego sędziowskiego fotela pobłażliwie wysłuchiwał fałszywych zeznań w sfabrykowanych oskarżeniach. Ale po raz pierwszy tego rodzaju zeznania skierowano przeciw niemu, a on nie zasiadał w roli sędziego i nie miał za sobą ani woźnych, ani pałek policyjnych, ani więzienia.

— Wysoki Sądzie! — wykrzyknął — nigdy jeszcze nie słyszałem takiego steku kłamstw jak te,

które tu opowiada ten bezwstydný łgarz...

Watson zerwał się na nogi.

— Wysoki Sądzie, protestuję... O tym, co jest kłamstwem, a co prawdą, zadecyduje sąd. Świadek ma tylko opowiedzieć przebieg wypadków. Jego osobiste poglądy i zdanie o mnie nie mają nic do rzeczy. Sędzia podrapał się w głowę i dość ospale wyraził oburzenie:

— Zupełna racja. Dziwię się panu, panie Witberg. Mówi pan, że jest pan sędzią, człowiekiem znającym się na prawie i postępowaniu sądowym, a zachowuje się pan jak laik. Tu mamy prostą sprawę o napaść i pobicie. Naszą rzeczą jest ustalić, kto uderzył pierwszy, a pańskie zdanie o panu Watsonie nas nie interesuje. Niech pan opowiada dalej.

Witberg zagryzłby ze złości rozbite i spuchnięte wargi, gdyby go tak bardzo nie bolały. Opanował się jednak i opowiedział po prostu, uczciwie i szczerze całą historię.

— Wysoki Sądzie — rzekł Watson — proszę, by Sąd zapytał świadka, co robił na moim terenie.

— Bardzo trafne pytanie. Co pan robił na terenach pana Watsona?

— Nie wiedziałem, że należą do niego.

— To było naruszenie cudzej własności, proszę Wysokiego Sądu! — zawołał Watson. — Wszędzie stoją tablice ostrzegawcze.

— Nie widziałem ich — odparł Witberg.

— A ja je widziałem — uciał sędzia. — Rzucają się w oczy. I muszę pana uprzedzić, że jeżeli rozmija się pan z prawdą w małych rzeczach, podważa pan swoje ważniejsze zeznania. Czemu pan uderzył pana Watsona?

— Jak już powiedziałem, nawet go palcem nie tknąłem.

Sędzia spojrział na posiniaczoną i spuchniętą twarz Watsona i przeniósł groźny wzrok na Salomona Witberga.

— Niech pan spojrzy na policzek tego człowieka! — zagrmiał. — Jeśli go pan nawet nie tknął, to skąd jest taki potłuczony, pokaleczony?

— Jak już mówid jeem...

— Niech pan uważa — ostrzegł sędzia.

— Będę uważał. Powiem szczerą prawdę. Sam się uderzył kamieniem. Uderzył się dwoma różnymi kamieniami.

— Czy to wytrzyma krytykę, żeby człowiek, jakikolwiek człowiek przy zdrowych zmysłach sam się tak pokaleczył, bijąc się kamieniem po miękkich i czułych częściach twarzy? — zapytał Carter Watson.

— To wygląda na bajeczkę — zauważył sędzia. — Panie Witberg, czy pan był pijany?

— Nie, proszę Sądu.

— Pan nigdy nie pija?

— Czasem, przy okazji.

Sędzia zastanawiał się nad tą odpowiedzią z miną wielce przenikliwą.

Watson skorzystał ze sposobności, by porozumiewawczo mrugnąć do Salomona Witberga, ale ten mocno pokrzywdzony dżentelmen nie dojrzał komizmu sytuacji.

— Bardzo dziwna sprawa, bardzo dziwna — oznajmił sędzia przystępując do ogłoszenia wyroku. — Zeznania obu stron są biegunowo przeciwne. Poza tymi dwoma głównymi świadkami nie ma innych. Każda strona twierdzi, że to ona została napadnięta, a ja nie mam urzędowego sposobu ustalenia prawdy. Mam jednak własne zdanie, panie Witberg, i radziłbym panu, by się pan odtąd trzymał z dala od posiadłości pana Watsona, a nawet od tego okręgu.

— To oburzające! — wypalił Witberg.

— Niech pan siada! — huknął sędzia. — Jeśli mi pan jeszcze raz przerwie w ten sposób, to będę musiał ukarać pana grzywną za obrazę Sądu. I uprzedzam, że grzywna będzie wysoka, bo pan sam jest sędzią i powinien się znać na grzeczności wobec przedstawiciela prawa i na powadze Sądu.

A teraz wydam wyrok:

Zasadą prawa jest, że wszelkie wątpliwości należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego. Jak już powiedziałem i raz jeszcze powtarzam, nie mam urzędowego sposobu stwierdzenia, kto uderzył pierwszy. Dlatego z wielkim żalem — zamilkł na chwilę i groźnie spojrzał na Witberga — w obu sprawach muszę przyznać oskarżonym dobrodziejstwo wątpliwości. Panowie, jesteście wolni.

— Chodźmy to oblać — rzekł Watson do Witberga, gdy wyszli z sądu, ale obrażony sędzia nie chciał wziąć go pod rękę i powędrować do najbliższego baru.

Przygotowano na podstawie bookini.pl